

STANISŁAW BRZozowski

ur. 1954; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin; PRL; ulica Krakowskie Przedmieście 55; ulica Krakowskie Przedmieście; Bogdanowska, Tamara; Ruppel, Oskar; Münch, Tadeusz; dzieciństwo; Trzcionkowski, Roman (1932-); szkoła muzyczna przy ulicy Krakowskie Przedmieście 55

Szkoła muzyczna przy ulicy Krakowskie Przedmieście 55

Wchodziło się głównym wejściem, ale było też mroczniejsze wejście od podwórka. Ponieważ mój autobus stał na ulicy Wieniawskiej, z mojego przystanku łatwiej mi było od podwórka wchodzić. Natomiast głównym wejściem wchodziło się po kilku schodkach na taki podest. Na parterze była szatnia.

Po lewej stronie mieściła się salka, w której odbywały się zajęcia z rytmiki. To było dosyć duże pomieszczenie – miało nie mniej niż dwadzieścia parę metrów kwadratowych. Był tam parkiet i pianino. Pani od rytmiki siedziała przy tym pianinie, grała różne melodie, a myśmy albo spacerowali, albo jakieś inne gesty wykonywali w takt muzyki – ruchy rękami czy nogami.

Na pierwszym piętrze były sale lekcyjne. W lewej odnodze korytarza mieścił się również gabinet dyrektora. Tamto miejsce napawało obawą. Dyrektor to była osoba bardzo tajemnicza i groźna dla dzieciaków w szkole. Wtedy akurat naszym dyrektorem był nieżyjący już pan Oskar Ruppel, pochodzenia żydowskiego zresztą. Po prawej stronie były ubikacje – osobno dla chłopców i dziewcząt. Na końcu tego korytarzyka były podwójne drzwi, a za nimi – duży hol. Stamtąd znowu było przejście pod dwoma łukami do korytarzyka w prawo. Tam mieściła się biblioteka, w której często wypożyczałem książki, bo byłem od dzieciństwa dosyć namiętnym czytelnikiem. Bibliotekarka, pani Płankowska, chętnie sugerowała, co wypożyczyć, gdy ja nie miałem pomysłu. Zwykle jej rekomendacje okazywały się trafne.

Po lewej stronie, idąc do biblioteki, były sale, w których odbywała się nauka gry na fortepianie. W jednej z nich uczyła pani Tamara Bogdanowska, dosyć charakterystyczna postać. To była nauczycielka mojego brata, ale też przez pewien

czas pełniła funkcję dyrektora szkoły. Była bardzo wymagająca. Pamiętam, że trzeba było na paluszkach przechodzić koło klasy pani Bogdanowskiej, bo jak tam się hałasowało, to można było otrzymać od niej srogą reprimendę. Potrafiła nakrzyczeć, także lepiej było unikać takich sytuacji.

Z drugiej strony korytarza, czyli jak z tego holu wchodziło się w lewo, była duża sala narożna. W czwartej klasie, kiedy połączono dwie grupy – „a” i „b” – wspólnie mieliśmy zajęcia w tej dużej sali lekcyjnej. Natomiast w następnym roku znowu nas podzielono. Nie wiem, czym były spowodowane te dziwne rozszady – być może kuratorium robiło jakieś reformy.

Na lewą stronę od klatki schodowej były sale, gdzie odbywały się popołudniowe zajęcia z profesorami konkretnej specjalności instrumentalnej, czyli na przykład lekcje na dętych instrumentach prowadził pan Tadeusz Münch, który miał niemieckie korzenie. Był bardzo elegancki – zawsze pod krawatem, ładnie uczesany, miał wyczyszczone buty. Jak się wchodziło do korytarzyka, od razu po prawej była właśnie klasa klarnetu pana Müncha.

Po lewej stronie, piętro wyżej była sala z pracownią chemiczną. Na zajęcia z tego przedmiotu przechodziliśmy ze swojej klasy do tej pracowni. Korytarzyk na pierwszym piętrze był na końcu oddzielony taką tymczasową ścianką pilśniową, która nie wypełniała całego przekroju, tylko stała do pewnej wysokości. A dlaczego była zrobiona? W tej ostatniej sali miał swoje mieszkanie pan Trzcionkowski. To był skrzypek, który grał w filharmonii i jednocześnie uczył w szkole. Nie pochodził z Lublina, więc żeby zatrudnili go w szkole, musiał dostać lokum. Ja mu współczułem, bo podczas zajęć lekcyjnych tam było naprawdę trudno wytrzymać. My w przerwach żeśmy dosyć głośno hałasowali. Korytarze były przez nas wykorzystywane do gry w piłkę – kaptur składało się w pół, i to był rodzaj takiej właśnie piłki. Graliśmy taką „piłką” na korytarzu i bardzo często jakieś mocniejsze kopnięcie powodowało, że ten kapeć lądował u pana Trzcionkowskiego. Był problem, bo ktoś musiał pójść i prosić, żeby oddał tego kaptura, a pan Trzcionkowski mógł wytargać za uszy, co było raczej powszechną praktyką w tamtych latach.

W sali na najwyższej kondygnacji urzędował pan Gutkowski, flecista z filharmonii, który wypożyczał instrumenty dęte. Tamta sala była dosyć ciekawa i bardzo podniecająco działała na wyobraźnię takiego chłopaka jak ja. Zdarzyło mi się tam być ze swoim profesorem od trąbki, żeby wypożyczyć właśnie ten pierwszy instrument do nauki gry. Widziałem dużo instrumentów dętych różnego rodzaju.

W tamtych czasach w ogóle trudno było kupić jakikolwiek instrument dęty dlatego, że w Polsce prawdopodobnie w ogóle ich nie produkowano. W tak zwanych demoludach

czasami zdarzały się jakieś czeskie czy enerdowskie trąbki, natomiast instrumenty dobrej klasy trzeba było ściągać z Zachodu. To było trudne ze względów ekonomicznych, bo trzeba było nielegalnie kupić dolary, żeby legalnie można było nabyć trąbkę, flet czy klarnet. Ewentualnie jeżeli ktoś miał znajomych na Zachodzie, mógł poprzez nich próbować sprowadzić ten instrument. Jeśli już osiągnęło się pewien poziom, szczególnie w liceum, to jednak ten lepszy instrument był nieodzowny.

Pamiętam, że na studia zdawałem jeszcze grając na takim właśnie enerdowskim Weltklangu, ale to był bardzo kiepski instrument i dziwię się, jak mogłem na czymś takim grać. Mimo to okazało się, że nawet nieźle grałem, bo jak pojechałem na przesłuchanie do profesora Miczki, który prowadził słynną klasę trąbki w Katowicach, usłyszałem: „Słyszałem, że ma pan jakieś kłopoty z maturą, ale jak pan by nie zdał, to niech pan przyjedzie – my pana przyjmujemy, a podczas pierwszego roku pan u nas zda maturę”. Także miałem pewność, że będę przyjęty. Byłem na tyle dobrym trębaczem, że chcieli mnie widzieć na tych studiach.

Data i miejsce nagrania	2013-11-27, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"